

## Agnieszka Kołakowska: Lekcja francuskiego

Wieża Eiffla rozbłysła kolorami flagi belgijskiej. Ale nie pakistańskiej. Przecież w Lahore odbyła się rzeź chrześcijan: to oni byli ofiarami, a ataki miały miejsce w święta wielkanocne. O tym jednak lepiej nie mówić, tak samo, jak właściwiej nie wspominać o islamie.

W jednym z filmów Monty Pythona jest scena, w której wśród tonących ludzi i walących się budynków przywódca wspólnoty stara się przekonać mieszkańców, że absolutnie nic się nie dzieje. Na końcu, na tle topiących się ludzi, rozpadających się z trzaskiem rzymskich kolumn i fal, które całkowicie pochłonęły budynki, mówi: naprawdę, nie ma co się martwić, nic się nie dzieje, lepiej zaśpiewajmy sobie jakąś wesołą piosenkę. Do złudzenia przypomina to niezmiennie, z roku na rok coraz bardziej przygnębiające reakcje europejskich władz – i sporej części ludności – na ataki islamistycznych terrorystów. Jedyna różnica: w filmie nie śpiewają *Imagine*. I nie skandują „Je suis Bruxelles”.

Od września 2001 roku minęło kilkanaście lat. Były ataki w Madrycie (2004 rok), w Londynie (2005 rok), w Tuluzie i w Bułgarii (2012 rok), dwa zeszłoroczne w Paryżu – w styczniu i w listopadzie. Poza tym niezliczone w (między innymi) Beirucie, w Turcji, w Pakistanie (kilka dni temu w ataku terrorystycznym w Lahaur zginęło około 70 osób, a kilkaset zostało rannych) i oczywiście w Izraelu. O nich jednak (tu dygresja) niewiele się mówi. Na śpiew *Imagine* nawet Bułgaria się nie załapała, mimo że jest w Europie. Ani Tuluza – choć podobno jest we

Francji: nikt nie demonstrował, nikt nie skandował „je suis Toulouse”. Liczy się tylko to, co przenika do ptasich mózdków francuskiej młodzieży. Ci ludzie zapewne nie umieliby znaleźć na mapie Pakistanu czy Libanu, na lekcjach geografii uczą się przecież głównie o groźbach globalnego ocieplenia i o zbrodniach kapitalizmu. Turcja to dla nich jedynie miejsca na wakacje, a Izrael jest przecież strefą faszystowskiej opresji wobec Palestyńczyków. Co do Tuluzy – tam zamordowali tylko Żydów, więc nie ma powodów do ekscytacji. Wprawdzie zanim się do nich zabrali, zdążyli zabić dwóch francuskich żołnierzy, ale ci byli Arabami, więc nas to nie dotyczyło. Natomiast (tu koniec dygresji) po ostatniej rzezi w Brukseli – owszem, z przygnębiającą przewidywalnością odbyła się demonstracja. I na niej, z równie przygnębiającą przewidywalnością, skandowano (tak, nietrudno zgadnąć): „je suis bruxelles”.

Co równie spodziewane, wieża Eiffla rozbłysła kolorami flagi belgijskiej. Ale nie pakistańskiej. Przecież w Lahore odbyła się rzeź chrześcijan: to oni byli ofiarami, a ataki miały miejsce w święta wielkanocne. O tym jednak lepiej nie mówić, tak samo, jak właściwiej nie wspominać o islamie. To wszystko nie ma przecież nic wspólnego z żadną religią. Gdy Hollande podczas wizyty w Białym Domu w listopadzie 2015 roku wspomniał – trzeba mu to oddać – o islamistycznym terroryzmie, słowa te zostały wycięte z jego przemówienia. Gdyby zostały wypowiedziane słowa „islamistyczny terroryzm”, gdyby wspomniano o tej kolejnej rzezi chrześcijan, pominąwszy nawet wiele poprzednich na Bliskim Wschodzie i gdzie indziej, o których świat milczy, to niektórzy muzułmanie mogliby odnieść wrażenie, że bardziej zależy nam – o zgrozo – na chrześcijanach niż na muzułmanach. Mogliby się obrazić i nas zaatakować. Wiemy, jak łatwo się obrażają, trzeba więc dokładać starań, by do tego nie dopuścić. Tematu chrześcijańskich korzeni Europy czy

judeochrześcijańskich wartości też lepiej nie podejmować. Zresztą nie jest to szczególnie uciążliwe, ponieważ milczymy o nich od tak dawna, że nikt by już nie wiedział, o czym w ogóle mowa.

Przez te kilkanaście lat w sposobie reakcji władz – i zwykłych ludzi – nic się nie zmieniło. (Prócz tego, że po styczniowej masakrze w redakcji „Charlie Hebdo” i w koszernym supermarkecie do francuskiej młodzieży dotarło jednak, że być może chodzi nie tylko o Żydów, lecz także o dziennikarzy. A po listopadowej – że ofiarami mogą być wszyscy, łącznie z nimi samymi). Kiedy François Hollande oświadczał po atakach w Brukseli, że terroryzm zagraża całej Europie, nie uznał za stosowne wspomnieć w tym kontekście o islamizmie (nie mówiąc o islamie). Za to premier Manuel Valls pouczył nas, że nie chodzi tu o żadną wojnę islamu przeciwko chrześcijanom, ofiary były przecież „wszystkich kolorów i różnych religii”. Co zatem było celem? O sąd wypowiedziany w pierwszej części tego zdania można się jeszcze spierać: w danej chwili ważne było jedynie nazwanie islamistycznego terroryzmu po imieniu, a nie oskarżanie islamu czy spór o wojnę cywilizacji. Jednak druga część tego zdania – oprócz tego, że z pierwszą łączy ją, mówiąc ogólnie, niejasny związek logiczny – jest albo monstrualną obłudą, albo po prostu skrajnym idiotyzmem. W Ameryce przy okazji potępiania ataków też nie wspomina się o islamizmie (tym bardziej o islamie). Ostatnio w ogóle zbywa się temat terroryzmu, mówiąc zamiast tego o tragedii, jakby chodziło o jakąś siłę wyższą czy siły natury, takie jak powódź albo huragan.

Nudne jest powtarzanie w kółko tego samego. Poza tym autoplagiat jest źle widziany. Jednak jeszcze nudniejsze jest wymyślanie na siłę nowych słów, żeby powiedzieć to samo. Z kolei otwarcie przywoływać własne słowa – też trochę głupio. Z trojga złego wybieram jednak tę

opcję. Po styczniowych atakach w Paryżu pisałam, że jedną z pierwszych reakcji był wyraz obawy przed utożsamianiem muzułmanów z islamistycznymi mordercami. Główne hasło brzmiało: „pas d’amalgam!” – „nie utożsamiać!” Potem znów pisałam to samo w listopadzie. Czy jest sens robić to ponownie? Nic się nie zmieniło. Politycy nadal ostrzegają przed „amalgam” i stronią od wymówienia słowa „islam”. Prawie przy każdym ataku wyraźnie słychać okrzyki „Allahu akhbar!”, ale nie ma to nic wspólnego z żadnym islamem – religią pokoju.

Autocenzura jest ciągle potrzebna tam, gdzie Orwellowskie nowomyślenie jeszcze nie całkiem przegryzło się do mózgów. Okazuje się, że muzułmanów – a więc tych, których nie należy obrażać – też trzeba cenzurować. Może dlatego, że skoro tak łatwo się obrażają, mogliby przez pomyłkę urazić samych siebie, a przed tym trzeba ich chronić. Choć to właśnie muzułmanie powinni się wypowiadać i trzeba ich do tego zachęcać, ponieważ tylko od wewnątrz można zniszczyć ideologię dżihadystowską. Dlatego tak ważne jest nazywanie islamistycznego terroryzmu po imieniu. Ale dla francuskich *bien-pensants* biedacy są najwyraźniej zbyt głupi, by zrozumieć słuszne myślenie lub może po prostu niedostatecznie oświeceni. Tak czy inaczej, trzeba ich przywołać do porządku. Algierski dziennikarz i pisarz Kamel Daoud opublikował w gazecie „Le Monde” artykuł o niedawnych zajściach w Kolonii. Wspominał o tym, jak islam traktuje kobiety, o uchodźcach i imigrantach, a także o warunkach ich przyjęcia i o naiwności europejskiej lewicy, która nie chce przyznać, że istnieją jakiegokolwiek różnice między wartościami wyznawanymi przez islam a nowoczesnymi świeckimi demokracjami, ani tym bardziej – że z tych różnic wynikają jakiegokolwiek problemy. Oburzeni lewicowi francuscy *bien-pensants* natychmiast oskarżyli go o islamofobię. (To jest dopiero

obraza. I zapierająca dech arogancja. I monstrualna głupota). I Kamel Daoud zamilkł. Ogłosił, że wycofuje się z dziennikarstwa. Skupi się na pisaniu.

Rok temu wskazywałam, że skutkiem naszej uległości wobec radykalnego islamu, naszej autocenzury, naszego dyskursu o „urazach”, „szacunku”, „tolerancji” i „uczuciach religijnych”, naszego tchórzostwa, naszej odmowy przyznania, że toczy się wojna i jest to walka z radykalnym islamem, będą kolejne i coraz to krwawsze rzezie. Dodałam przy tej okazji, że Kościół katolicki w Polsce, który ostatnio oburzał się „obrazą” uczuć religijnych, też mógłby się z pożytkiem zastanowić nad tym wszystkim.

Tymczasem czytam, że francuski muzułmanin (nie, to nieścisle: w wiadomościach nie ma informacji o francuskim muzułmaninie, ale o jakimś Francuzie) podejrzewany o planowanie ataków we Francji i aresztowany niedawno w Rotterdamie „sprzeciwia się wydaleniu do Francji”. Wydaje się to mało zaskakującą wiadomością. Wyobrażam sobie, że się sprzeciwia. Na jego miejscu też bym się to robiła. Tylko nie bardzo rozumiem, co on ma w tej sprawie do powiedzenia, i dlaczego prasa nas o tym powiadamia. Co to jest za informacja? Sugerująca, że (co bardzo możliwe) zaraz się odwoła do Trybunału Praw Człowieka? Czy też (równie niewykluczone) że dziś przestępców można wydalać tylko za ich łaskawą zgodą?

Dowiadujemy się także, że jeden z brukselskich zamachowców został wydany z Turcji do Holandii, ale wypuszczono go z więzienia. Pisałam w zeszłym roku, że żona islamisty, który dokonał rzezi w koszernym supermarkecie, z pomocą islamistycznej sieci uciekła przez

Turcję do Syrii. Jeden z morderców odpowiadających za zamach w redakcji „Charlie Hebdo” został kiedyś skazany za rozmaite przestępstwa na długi pobyt w więzieniu, ale wypuszczono go po paru latach. Wiadomo, że w tym czasie został zradykalizowany przez innego dżihadystę i że był pod wpływem radykalnego przywódcy religijnego. Imam? Przecież się nie zmienił, ale mimo to ochoczo korzysta z wolności słowa w Republice Francuskiej. Drugiego mordercę w pewnym momencie przestano śledzić, choć jego dżihadystyczne powiązania były znane. Nic się nie zmieniło. Europejskie wywiady i źródła wojskowe mówią o sieci ok. 500 dżihadystów ISIS w Europie, uzbrojonych i planujących dalsze ataki. Niektórzy z nich to europejscy obywatele, którzy wyjechali do Syrii, aby dołączyć do Państwa Islamskiego. Tam otrzymali odpowiednie szkolenie, po czym wrócili do Europy i mogli planować dalsze ataki. Nic się nie zmieniło.

Nawet jeśli są rozważane jakieś żałosne półkroki, spełzną na niczym. Po listopadowej rzezi w Paryżu François Hollande zaproponował odebranie obywatelstwa Francuzom skazanym za akty terrorystyczne. Izrael robi to od lat. Nawet ta propozycja nie przeszła we francuskim parlamencie. Prezydent poczuł się urażony i ogłosił, że wycofuje ten projekt poprawki do konstytucji.

Dopiero teraz, po latach, europejskie służby zaczynają się zastanawiać (opieszale i bardzo niechętnie), czy nie warto zaczerpnąć od Izraela – doświadczonego w tych sprawach, ponieważ z terroryzmem mierzy się on na co dzień od ponad pół wieku – wiedzy o środkach bezpieczeństwa w obliczu terroryzmu. Na lotnisku Ben Gurion w Tel Awiwie jest jedenaście etapów kontroli bezpieczeństwa, pierwszy odbywa się przy wjeździe. Jeśli nawet ktoś podejrzany prześlizgnie się przez pierwszą, drugą i trzecią weryfikację – co jest niezmiernie rzadkie – przy czwartej

lub piątej już mu się to nie uda: ktoś go zauważy. Na lotnisku w Brukseli policja strajkuje przeciwko nieadekwatnym kontrolom bezpieczeństwa. A gdy niektórzy nieśmiało sugerują, by rozważyć chociaż kontrolę przy wjeździe na lotnisko, władze się oburzają i wskazują, że jest to niemożliwe do wykonania: wydłużą się kolejki, będzie dużo utrudnień, zostanie ograniczona wolność (co jest nie do przyjęcia), nastanie państwo policyjne itp. Ben Gurion obsłużyło w 2015 roku 15 milionów pasażerów, lotnisko w Brukseli niewiele więcej – 23 miliony, lotnisko w Berlinie zaś – 21 milionów. Owszem, dostrzegamy różnicę, ale nie jest ona aż tak ogromna. Kontrola przy wjeździe byłaby możliwa bez zakłócania lotów i bez znacznych ograniczeń wolności. W wypadku ogromnych lotnisk, takich jak paryski port Charles'a de Gaulle'a (65 milionów podróżnych) albo londyńskie Heathrow (74 miliony), byłoby to trudniejsze, ale ciągle możliwe.

Przy wjeździe do Ben Gurion nie ma żadnego zatoru, przejeżdża się wolno przez kontrolę, a następnie staje się na chwilę, podczas której strażnicy – uzbrojeni żołnierze – bardzo uważnie przyglądają się pasażerom. Są oni oczywiście odpowiednio do tego wyszkoleni. (Trzeba przyznać, że w tym wszystkim bardzo pomaga pobór do wojska). Przy głównym wejściu do budynku wchodzących obserwują kolejni strażnicy. Tak samo w hali odlotów. I dalej. Poza tym w Izraelu przy wejściu do każdego sklepu, domu towarowego, centrum handlowego, supermarketu, kawiarni, restauracji – właściwie wszędzie – sprawdza się torby i pakunki. Na dworcach autobusowych taka sama kontrola obowiązuje przy wsiadaniu do autobusów międzymiastowych. To ani nie utrudnia życia, ani nie powoduje kolejek; nikt nie narzeka na ograniczenie wolności. Życie toczy się normalnie – i bez zagrożeń. Tylko że kontrolerzy to wyszkoleni ludzie, którzy wiedzą, jak patrzeć na innych, jak ocenić różne sytuacje i jak reagować. Mają też świadomość tego, że robią coś koniecznego dla bezpieczeństwa kraju. W Europie w

czasie kontroli – tam gdzie one istnieją, a więc wyłącznie przy wejściu do strefy odlotów na lotniskach – pracują ludzie źle wyszkoleni, którzy zadowolają się małostkowym i bezmyślnym wykonywaniem poleceń (w Polsce nie wiedzieć czemu każą zdejmować zegarki); niektórzy zdają się (jak niscy biurokraci na całym świecie cieszący się swoim nędznym skrawkiem władzy) czerpać złośliwą przyjemność ze znęcania się nad pasażerami; prawie wszyscy sprawiają wrażenie jakby swoją pracę uważali za poniżającą. Na lotnisku Ben Gurion nikt nie prosi o zdejmowanie butów, nie wspominając o zegarkach. Nie trzeba też przewozić płynów w małych buteleczkach schowanych do przezroczystych torebek. Nie jest to konieczne, ponieważ mają tu o wiele lepsze i skuteczniejsze, a przy tym bardziej dyskretne i niepowodujące kolejek oraz zatorów, metody sprawdzania ludzi. To prawda, że długie przepytывanie podróżnych przy wyjeździe jest uciążliwe, ale za to skuteczne. To dzięki niemu i pozostałym warstwom kontroli, nie musimy znosić niewygód charakterystycznych dla europejskich portów lotniczych. Coś za coś. Co jest bardziej uciążliwe? A co – efektywniejsze?

Prawdą jest też, że Izrael liczy tylko 8 milionów obywateli i że zapewnienie bezpieczeństwa w krajach, w których liczba ludności to 60 czy 70 milionów, jest trudniejsze i bardziej skomplikowane – ale jest niemożliwe. Jednak we Francji, kraju wolności, równości i braterstwa, lub w innych europejskich demokracjach, wzmożone kontrole są – jak mówi się chórem – nie do przyjęcia, ponieważ ograniczyłyby wolność. Cenzura (teraz obejmująca także muzułmanów) nikomu nie wydaje się problemem. Lecz pomysł, żeby przy wejściu do sklepu sprawdzać torby albo samochody przy wjeździe na lotnisko – wykluczone. Owszem, w Paryżu przez krótki czas bezpośrednio po zamachach można było spotkać uzbrojonych żołnierzy przed synagogami, zdarzały się też kontrole toreb w domach towarowych. Ale szybko znikły.

Wreszcie prawdą jest, że w Izraelu podstawową rolę w zapewnianiu bezpieczeństwa odgrywa długa i trudna penetracja komórek dżihadystowskich. W Europie narzeka się, że brak na to środków. Te można jednak zdobyć, doświadczenie – też. Brak raczej woli. Widziałam niedawno w jednej z brytyjskich gazet trafny rysunek, przedstawiający wymianę informacji między dwoma agentami wywiadu. Jeden mówi: my nie mamy pojęcia. Na co drugi: my też nie. Wydaje się, że tak to rzeczywiście wygląda.

Więc czekają nas kolejne ataki. Wieża Eiffla znowu rozbłyśnie kolorami flag (ale tylko europejskich). Ponownie będziemy śpiewać „Je suis Rome” albo może „Je suis Londres”. Przemilczymy rzeź chrześcijan, ale będziemy powtarzać mantrę o pokojowej religii, jaką jest islam. Dżihadyści będą polerować broń w arabskich gettach i spokojnie się zastanawiać, gdzie by się tu najlepiej wysadzić w powietrze. Nic się nie zmieni. Można jednak się pocieszać, że kilka dni temu nieznanymi sprawcy w tajemniczych okolicznościach ukradli ciężarówkę przewożącą 16 ton jogurtu.

Nie da się powiedzieć o tym wszystkim nic nowego (choć kwestia jogurtu intryguje); można tylko w kółko powtarzać to samo. Nie wiadomo po co, ponieważ wszystko pozostanie takie, jakie jest. Ale odmiana czasowników jest zajęciem miłym, pożytecznym i kojącym. Powtórzmy więc wszyscy razem:

Je ne suis pas Bruxelles

Tu n'es pas Bruxelles

Il n'est pas Bruxelles

Nous ne sommes pas Bruxelles

Nous ne serons jamais Bruxelles

Vous n'êtes pas Bruxelles

Ils ne sont pas Bruxelles

Je ne veux pas être Bruxelles

Foutez-moi la paix

Paryż, kwiecień 2016 roku